

Sekretu moissanitów COLWAY Collector Collection odsłony kolejne... (7)

/materiał opublikowany 22 sierpnia 2020/

Każdy, będący choć trochę spostrzegawczym, konstatuje dość szybko, że gdyby (najbardziej hipotetycznie) wyobrazić sobie tylko, że fabuła tej bajdy zdarzyła się (i dzieje nadal) naprawdę, to ... możliwe by to być mogło tylko w tych miejscach w tych datach i tylko z tymi ludźmi. Nigdy i nigdzie indziej! I wtedy przychodzi kolejna refleksja: „zaraz, zaraz! Właściwie to jest znacznie mocniej, więcej i ... nie da się tak po prostu wrzucić między baśnie czegoś, co narzuca od razu pytania, które rozszerzają źrenice.

Spostrzeżenie z pewnością sami (kiedy już opowiem całą tę historię) że, gdy tylko na moment zaledwie, przeniesiemy legendę moissanitową z krainy bajek na półkę hipotez, to ona sama zaczyna się wrywać jeszcze dalej. Ku... teorii powiedzmy. Bo choć z założenia niewiarygodna, dalej jest po prostu spójna i wydaje się mieć głęboki sens. Wszystko w niej się nagle wtedy idealnie składa i pasuje.

Nie ma więc słabych punktów?

Wystarczy jeden niestety: czemu nikt jej po prostu nie dowiedzie? Co z tego, że nawet spójna? Gdyby ta bajka miała być prawdą, to dawno by nią się stała – natychmiast powie racjonalista.

Zabija ją już pierwsze pytanie: gdzie choćby jeden naturalny moissanit?

Tak samo i ja rozumowałem. Ale nie jest to takie proste. Mianowicie kto miałby jej dowieść? Bo mających w tym interes po prostu nie ma. Mogłaby to być agencja federalna, ale ... widocznie nikt w Waszyngtonie, w tak ogromny skarb narodowy też nie uwierzył.

Do pasjonatów, detektywów-amatorów nie miała szczęścia. Tak też bywa. Konkurencja? Niech Bóg broni! Więc jeśli oni sami nie, to zainteresowani pozostaną chyba tylko rozmarzeni w oparach wody ognistej Nawajo albo przewodnicy turystyczni. Oraz... my, czego silny powód objawię jednak dopiero później.

Legenda pustynna jest już stara i nikt jej głośno nie potwierdza. Wynika to z tego, że przede wszystkim ONI sami - albo nigdy nie komunikowali niczego takiego na zewnątrz, albo bardzo szybko tego zaprzestali.

Jak zresztą każdy rozsądny znalazca skarbu. W ich przypadku wydarzyłoby się bowiem coś znacznie gorszego niż przytrafia niedyskretnym poszukiwaczom skarbów. To mógłby być, a raczej byłby na pewno definitywny koniec ich Świata.

Z pewnością więc sami nie byli nigdy (a to już półtora wieku za niebawem) zainteresowani żadnym „dowodem”. Bo na co? Przecież nie na dogmat. Ten dowód już dał im Pan na pustkowiu Mojave! Od kiedy to jakakolwiek religia żywa, przeprowadza przed kimkolwiek dowód na istnienie TEGO, co jest źródłem i tajemnicą wiary? Przyjrzyjcie się historii Kościoła chociażby.

Wszelka scholastyka i teologia rodzi się dopiero z problemu z wątpliwości i z kryzysu wiary pierwotnej i czystej.

Staralem się wielokrotnie dopytać i ... okazuje się, że właściwie nawet nie ma o co.

W Arizonie „pustynna legenda” ma raczej status plotki. I to lokalnej, która „wyszła” razem jej bohaterami. Nie podsycana, bo przez nieobecnych być nie mogła, a nikt inny nie miał w tym specjalnego interesu.

Analizując legendę pustynną w jej miejscu i czasie - nie zapominajmy wszak, że naturalne kryształy węglik

krzemu zostały znalezione przez Henryka Moissana kilkanaście lat później, niż swoje Inner Light w kamieniach znaleźli Oni. Po „sąsiedzku” zresztą.

Legenda żyła króciutko i tylko do I wojny światowej, kiedy też niezbyt ochoczo „zajmowały się” nią – jak byśmy dziś powiedzieli - brukowce i tabloidy. Coś jak w Europie z potworem z Loch Ness, aczkolwiek nawet nie w częście tej skali. Potwór to bowiem chociaż potwór, a nie jakiś podwójny refleks światła w kamieniach może i z meteorytów i kogo to miało obchodzić, gdy – przypomnijmy - moissanit, jako surowiec ciekawy był tylko i wyłącznie swoją genezą kosmiczną? Zagospodarowanie go w przemyśle nie budziło wielu emocji. (choć nie wiem, czy wspominałem o niezwyklej karierze węgla krzemu w przemyśle zbrojeniowym – już współcześnie).

Na pozór jest łatwe rozwiązanie tej tajemnicy - całą legendę dopasowano znacznie później, konfabulacyjnie do znanych realiów historyczno-geograficzno-geologiczno-astronomicznych.

No cóż, ale kiedy? I czym się w takim razie karmiła duchowo ta społeczność do czasu powymyślenia tego wszystkiego o ich moissanitach z Mojave?

Nie zapominajmy, iż przypowieść czerpiemy z podsłuchiwanie *stricte* wewnętrznego przekazu ludzi, którzy ... po prostu się nie okłamują.

A przynajmniej nie powinni. Nigdy. Gdyż kłamstwo jest dla nich grzechem ciężkim. A kłamstwo w sprawach wiary tak ciężkim, że mogącym skutkować wydaleniem ze społeczności. Pytani o to, czy to prawda, że posiadają zapewne najdroższy ze skarbów świata – dzisiaj już... nie są tak wylewni, ale ... też temu nie zaprzeczają. Nie mogą bowiem zaprzeczać dogmie, ale też bardzo nie chcą informować wścibskich. Nic dobrego by im z pewnością przecież doinformowani w tym temacie nie przynieśli.

Powtórzmy dla nie czytających z uważnością:

Co mówi ta, dla nas tylko legenda, ale dla nich główny i jedyny chyba, pozabiblijny dogmat wiary? Że ich dziadom, a dokładnie ich „straży przedniej”, przybyłej na tereny na północ od Colorado River - zagroziły drogę skały, które najoczywiściej musiały spaść z nieba. Już pierwszy, rozłupany przez Pielgrzymów kamień ujawnił ich oczom - jak mówi tradycja opisu - w swoim wnętrzu, coś podobnego do tego:

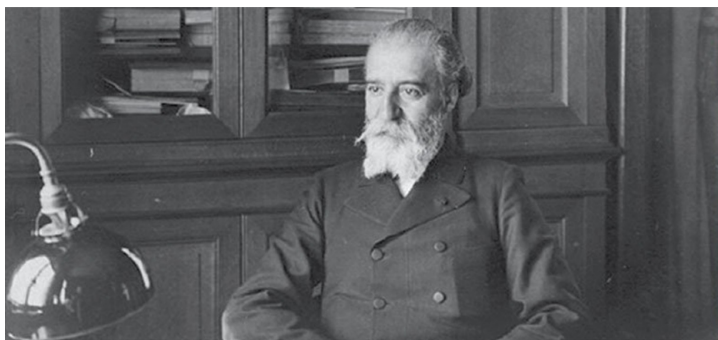


Inner Light – tak właśnie sobie wyobrażali Światło Wewnętrzne.

Po naszymu to tylko dwójłomność kryształu węgliku krzemu. Po ichniemu zaś Tak Samo jak nazwali go ok 140 lat temu, tak nazywają ten efekt do dzisiaj, kiedy oczywiście już można go podziwiać w setkach tysięcy oszlifowanych klejnotów. W czym zresztą zasłynęli jako Mistrzowie. Szkopuł w tym, że ta legenda pochodzić musi z czasów, kiedy jeszcze nie mógł istnieć ani jeden syntezowany moissanit.

Zaś biorąc ją literalnie – z czasów nawet mocno przed wyprawą Henryka Moissan do głębi Krateru Meteorów.

A problem z nią główny jest taki, że naturalny moissanit na oczy widziało niewielu. Nie wiadomo nawet gdzie się podziały resztki znaleziska słynnego noblisty z 1893 roku. Poza okruszkiem, jakiego zdjęcie już zamieszczałem wcześniej. A oszlifowany naturalny moissanit? Postawmy pierwszy raz to prowokujące pytanie: dlaczego właściwie Kaznodzieje nie mieliby mieć naturalnych kryształów węgliku krzemu i systematycznie ich szlifować? To wprawdzie nieprawdopodobne, ale za to – uwaga! - wszystko wyjaśniające. Czy więc może nam odtąd bytować tu, jako taka, „tylko dla swoich” nieśmiała hipoteza?



Henri Moissan



Jadąc w 2014 roku autostradą nr 40, a potem crossowym Mojave Road, byłem już nieźle wkręcony w „legandy kaznodziejów” o tyle ciekawsze jeszcze, że opowiedziane mi z detalami przez Beatę na skype, ale jak się okazało niezbyt znane tam samym tubylcom.

Tak samo, jak ja nie mogłem mieć wówczas pojęcia, że Piotr Pakuła pokaże mi za trzy lata niebieski słoik (ten co posłużył do Kremu BD), a ja niedługo później będę już całkiem poważnie zabiegał u Kaznodziejów o błękitne, półkaratowe moissanity – to identycznie ich przodkowie nie mogli, docierając na skraj pustkowia Mohave, wiedzieć niczego o szczególnych właściwościach elektroluminescencyjnych kryształu węgliku krzemu. Ponieważ pierwszym, który w ogóle mógł (nie ma nawet dowodów na to, że widział) zobaczyć słynne, podwójne odbicie światła - był nawet nie Moissan, a dopiero w 1907 roku Henri J. Round...

Kiedy Pielgrzymi spotkali swoje kamienie, to Henri Moisan miał jeszcze ładnych paręnaście lat do swojej wyprawy badawczej na Meteor Crater. Skąd więc się biorą korzenie legendy o kamieniach z Inner Light w środku,

w darze od Boga leżakujących sobie na uroczyskach Mojave?

Przodkowie Kaznodziejów też bowiem nie wieźli na wozach sprzętu mogącego wytwarzać ciśnienie i temperatury potrzebne do (beztlenowej) reakcji krzemu z węglem. Nie zrobili raczej więc tych kamieni gdzieś pokątnie, aby zaskoczyć ziomków, niczym Mojżesz kamiennymi tablicami z Nowym Prawem.

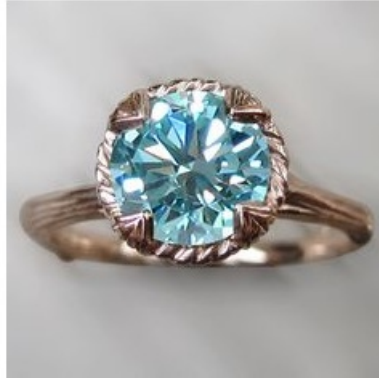
To tak, tylko dodałem, gdybyśmy chcieli wymyślać dla tych tajemnic i zagadek jakich się jeszcze wiele pojawi - inne, „logiczne” wytłumaczenia.

Bo póki co – przyznacie chyba - jawi się to zdecydowanie bardziej intrygujące niż scenariusze arcydzieł kina SF. A mówiąc prawdę, jeszcze się nie rozkręciłem. Będzie ciekawiej...

Może chwila oddechu, w której zerkniemy na najnowszy trend w modzie na biżuterię - w USA.

Moissanite & Rose Gold





JEULIA

Affordable Designer Jewelry



GENUINE
MOISSANITE
.925
STERLING
SILVER
GEMSET.COM



Sekretu moissanitów COLWAY Collector Collection odsłony kolejne... (8)

/material opublikowany 22 sierpnia 2020/

Motyw Światła Wewnętrznego ma w sobie coś silnego. Pojawia się przecież w wielu wierzeniach...
Posłuchajcie choćby Georga Harrisona:

The Inner Light

Bez wychodzenia z moich drzwi
Without going out of my door

Mogę wiedzieć wszystko o ziemi
I can know all things of earth

Bez patrzenia przez okno
Without looking out of my window

Mogłem poznać drogi w niebie
I could know the ways of heaven

Im dalej się jedzie
The farther one travels

Im mniej wiadomo
The less one knows

Im mniej tak naprawdę wie
The less one really knows

Bez wychodzenia za drzwi
Without going out of your door

Możesz wiedzieć wszystko na ziemi
You can know all things on earth

Bez patrzenia przez okno
Without looking out of your window

Mogłeś poznać drogi w niebie
You could know the ways of heaven

Im dalej się jedzie
The farther one travels

Im mniej wie
The less one knows

Im mniej tak naprawdę wie
The less one really knows

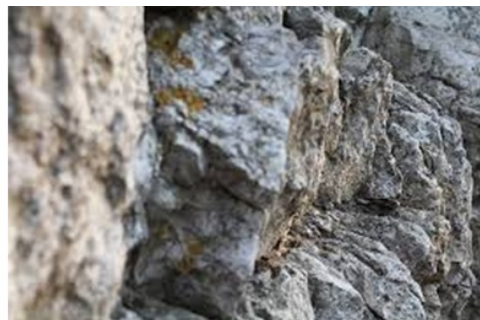
Przyjazd bez podróżowania
Arrive without traveling

Zobacz wszystko bez patrzenia
See all without looking

Rób wszystko bez robienia
Do all without doing

Czy wyobrażacie sobie, że gromada ludzi wędrujących z TAKIM motywem przewodnim Drogi do Boga - i zbawienia nie znalazła wcale na Mojave tych kamieni z Inner Light? Że wszystko to było mistyfikacją i funkcjonowało tylko w ich wyobraźni? Lub że była to manipulacja np., grupki przywódców? I tak przez następne dziesięciolecia, aż dopiero współcześnie już „wskoczył im temat”, zaczęli syntezować moissanity i szlifować je na najwyższym poziomie sztuki uduchowionej? Trudno trochę, prawda? Najtrudniej uwierzyć że ich kościół utrzymało w tym czasie, w najwyższej dyscyplinie moralnej i w niezachwianej wierze właściwie ... co w takim razie?

Kaznodzieje wyszli z protestanckiego ruchu religijnego, w którym panowało przekonanie że Wewnętrzne Światło mieszka w każdym dziecku bożym, na co wskazuje Ewangelia Jana 1: 9, mówiąca: „To było prawdziwe światło, jakie oświeca każdego człowieka, który przychodzi na świat”. Odeszli również dlatego, że podnieśli rolę tego, co było po części symbolem - do rangi dogmatu. Jego podstawą była niewzruszona pewność, że każda osoba rodzi się ze Światłem w sobie. Protoplaści ich wiary nazywali się czasami „dziećmi światła”. Kaznodzieje mówią tak o sobie... zawsze.





Nie jestem człowiekiem religijnym i może czegoś nie rozumiem, ale wiem coś o istocie przywództwa, dlatego sądzę, iż wskazywanie ludziom celu wymagającego wysiłku z nagrodą odroczoną w czasie i bez jakiegokolwiek namacalnej satysfakcji etapowej, albo w nieustającej przez wiek całej iluzji – nie wydaje się możliwe. Postawiłbym na to, że ONI nie mogli wówczas TAM czegoś takiego nie znaleźć. Bo nie mogliby przetrwać w takiej formie społecznej. Niestety na obrzeżach Mojave - gdzie się to miało zdarzyć - nie występują kamienie szlachetne o nawet podobnych choć odrobinę cechach. Musiały więc, jak to w psalmach bywa – spaść z nieba.

Niemożliwym zaś dla mnie socjologicznie wydaje się to, co musimy uznawać za „dogmat laicki”. Czyli wykluczenie tego, że moissanity naszych Kaznodziejów nie mogą być i nigdy nie mogły – naturalne. Jest to oczywiście mój pogląd prywatny, nie mający istotnego wpływu na postępowanie w biznesie. Nie pójdę głosić jakiejś prawdy, która nie obchodzi nawet tych podmiotów, które ją kreowały.

Trochę historii



Główni bohaterowie naszej historii moissanitowej przywędrowali w okolice Wielkiego Kanionu Kolorado w latach 80-tych XIX wieku. Były to, trzeba Wam wiedzieć, podówczas jeszcze tereny ciągle mało znane, a wiedza o nich ludzi na wschodnim wybrzeżu ograniczała się głównie do relacji pochodzących z epickiej wyprawy badawczej Johna Wesleya Powella w 1869 r. Nie wiem, ilu z nich musiało być pionierami części tego szlaku, którym ja jechałem dwukrotnie. Ale przecież już w innych wiekach. Raz w XX i raz w XXI. The Mojave Road ukończono ostatecznie w roku 1881. Jakkolwiek znaczenie tego jest raczej niewielkie, bo to na pewno nie my rozwiążemy ich zagadkę, ale próbowałem dla potrzeb tego właśnie materiału określić datę ich osiedlenia tam, gdzie miał im Bóg zesłać wiadomy już Dar, jak również ustalić ówczesną liczebność tej grupy. Przyznaję, że nawet to sprawiło mi kłopot, gdyż przyzwyczajeni jesteśmy już do tego, że w internecie jest wszystko, a ... nie jest.

Relacje z przekazów ustnych o tamtej wędrówce, jakie mozolnie pozbierałem „z trzecich ust” też nie są całkiem spójne, bo niezbyt chętnie składane przez tych, którzy jedyni mają wiedzę o przeszłości. Wiadomo jest tyle, że oni nie przemieszczali się ani jedną gromadą ani w jednym czasie. Zawsze najpierw ktoś zdobywał bezpieczny przyczółek i dopiero dowoływał braci. Tak było w Arizonie i tak było w Kalifornii.



Moissanity mamy od ludzi, których nazwałem kiedyś tak, „na roboczo” Kaznodziejami licząc, że wymyślę coś mądrzejszego, ale... nie wymyśliłem. Na zastępcze określenie - Dzieci Światła też nie dostałem zgody, bo ...tylko oni mogą tak mówić o sobie. Nie rozumiem, ale ... cóż mogę na to? Jedno wiem: to pasjonaci moissanitów, a nawet więcej, gdyż ich pasja ma zabarwienie religijne, które może tylko wydaje mi się, że rozumiem.

Uczciwie im to zresztą już na samym początku naszej relacji powiedziałem, na co oni zażądali, bym w takim razie nie ujawniał, póki co przyjętej nazwy ich zgromadzenia, ani nazwy Kościoła którego są odszczepem. Myślę że tego ostatniego kto zechce, ten się domyśli. Są małym odłamem jednego z powstałych w XIX wieku istotnych ruchów protestanckich. Nie budują świątyń, nie powołują stanu kapłańskiego, bo uważają iż Światło Wewnętrzne pozwala im na kontakt z Bogiem bez pośredników. Nie odprawiają więc też nabożeństw, ani modłów. Nie mają deklaracyjnych wyznań wiary. Ciszę ich spotkań może przerwać każdy, kto poczuje potrzebę wygłoszenia kazania (dlatego tak właśnie ich sobie nazwałem: Kaznodzieje). Ta teologia jest prosta, opierająca się o Biblię i nie obudowana wieloma dogmatami.

Jako dysydenci odrzucili to, co powstało w ich Kościele poza Biblią, a podnieśli rolę przykładów jak należy żyć, a przede wszystkim wspomnianego Wewnętrznego Światła. Słuszność takiej drogi miał potwierdzić Bóg, który kazał im odejść na zachód i zawiódł aż na skaliste pustkowia Arizony, gdzie na ich „zwiadowców” czekały już zesłane z nieba kamienie, w których wnętrzu dopatrzili się wizualizacji tego światła. *Inner Light*.

Bezspornym jest to, że w ubiegłym wieku po części dostali od rządu, po części skupili od Indian Huala Pai oraz

Navaho duże areale ziemi w pobliżu Wielkiego Kanionu. Miały to być zakupy bardzo okazyjne, bo ... wodzowie niezbyt wiedzieli, co należy do którego szczepu.

Ziemia ta w znacznej części jest ich własnością do dziś, dzięki czemu wreszcie na coś znalazłem dokumenty! Nawet mocno historyczne. Nawet o dziwo w internecie! Trzeba się tylko w tym celu rejestrować w płatnych portalach archiwistycznych.

Poza tym oni nie zamieszczają żadnych danych o sobie w Sieci i mnie także zabronili publicznie, a zwłaszcza w internecie nawet wzmiankowania nazwisk wskazanych osób oraz, jak już wspominałem nazwy ich zgromadzenia ... aż do odwołania, które to odwołanie kiedyś chyba nastąpi, skoro powierzono mi misję spopularyzowania po „mojej” stronie oceanu ich niebieskich klejnotów, jakimi się zachwycałem. Nie umiałem się aż dotąd dopytać ani o prognozy czasowe, ani o zakres owego futurystycznego „aż do odwołania”. To zresztą akurat jeden z mniej dziwnych elementów naszej specyficznej relacji.

Jacy oni są?

Pozwólcie więc, że nie będę nigdy i niczego o „Kaznodziejach” konfabulował, bo i tak już w nawet skąpych moich, dotychczasowych wypowiedziach na ich temat, pojawiły się przekłamania lub sugestie zupełnie bezpodstawne. Czemu? Bo koniecznie chciałem „coś” powiedzieć. Cokolwiek, bo będąc początkowo pod presją podejrzeń o wprowadzanie do marketingowej rzeczywistości postaci, o których, dziwnie jakoś - nic prawie nie wiadomo. Odtąd więc będą tylko fakty ścisłe. Nawet jeśli skąpe, to dla upartych weryfikowalne.

A jeśli ktoś kiedykolwiek u nas wystrzeli (do czego już niestety przywykłem) z jakąś szkodliwą plotą, to wiedźcie tym razem, że dziedzina ta jest wyjątkowo klarowna. Czego nie wyczytacie o Kaznodziejach u mnie i ode mnie nie usłyszycie – to odrzucajcie, bo to nieprawda. A na pewno wymyśl informatora lub jego informatora. No chyba, że ktoś trafi na źródła. Za takie będę realnie wdzięczny!

Wartości naszych Kaznodziejów to prawda, uczciwość, pokój, skromność, pracowitość, prostota, równość, dochowanie wierności Świadectwom, postępowanie wg. Przykładów, pielęgnowanie Światła i wspieranie się nawzajem.

Oni są ... do irytacji dobrzy, a w tej dobroci aż nudni i bezbarwni - stwierdziła osoba, o której jeszcze w tym cyklu opowiem, bo... bez niej byśmy moissanitów nie mieli. A o ich twórcach tak mało jest wiadomo bardziej dlatego, że nie wzbudzają ciekawości świata zewnętrznego, niż dlatego, że się od niego izolują. Od lat już nie nachodzą ich dziennikarze, ani poszukiwacze tematów, nie tropią żadne media, ani społecznicy, bo wyraźnie nie spodziewają się niczego... interesującego.

Nawet dla religioznawców stanowią grupkę zbyt marginalną do studiów, a nadto skutecznie hermetyczną, czego dowodzi już niejednolitość nazewnictwa ich odłamu w istniejących i tak bardzo skąpych wzmiankach. O „kaznodziejach” w ogóle nie ma za wiele informacji, nawet typu kronikarskiego, w najzwyczajszym tego znaczeniu.

Wyobraźcie sobie jak trudne jest śledzenie dziejów społeczności, która zawsze hermetyzowała się przed światem, nie tworzyła literatury świeckiej, ani almanachów, pamiętników itp.

Nie zakładała nawet zbyt licznych ksiąg wieczystych, a przede wszystkim parafialnych! Bez jakiegokolwiek odnotowywanego uczestnictwa w życiu społecznym, bez rejestracji urodzin, chrztów, aktów nabycia własności, rejestracji poborowych, bytności z jakiegokolwiek powodu w sądach, ani też w więzieniach, szpitalach, lokalach

wyborczych i bez wielkich szans na podobne „ślady”, jakie pozostawiali jednak w pionierskiej Ameryce wszyscy inni – to o „naszych” można powiedzieć, że jakby ich... nie było.

O najmniejszych grupach indiańskich można zwięźle się więcej, niż o tym zborze wiernych. I niewiele lepiej jest do dzisiaj. Bodajże jedyne, co znaczy jakiś tam ślad historyczno-kulturowy, to krótki konflikt z nimi władz stanowych, już w Kalifornii. Chodziło o kwestie takie, jak szczepienia i obowiązek szkolny dzieci. Chciałem odnaleźć film hollywoodzki klasy B, jaki został w latach 70-tych nakręcony na ten temat, bo sam coś odpowiadającego opisowi akcji tego filmu mgliście pamiętałem, jako wyświetlanego w polskiej tv. Czyli wreszcie coś dramatycznego i wyrazistego - pomyślałem.

Rzeczywiście, taki film powstał i zaiste kanwą dla jego scenariusza były wspomniane zadymy z władzami, z obłąkaniem domostw i finalną tragedią śmierci od kul i ognia – z pewnością nie zasługujących na to ludzi. I to były bodaj najtrudniejsze momenty w całych ich dziejach. Opuściłem, gdy się okazało, że na nic mi ten film, gdyż na koniec miejsce akcji i jego bohaterów przebrano w realia ... zupełnie innej grupy religijnej. Po to zapewne, aby dla widza w kinie była rozpoznawalna. Bo ci nijak nie byli. Znowu pudło.

Przywódcy wyciągnęli wnioski takie, że zamiast odszkodowań wytargowali przyzwolenie na jeszcze większe wyizolowanie z struktur społecznych. Status prywatności dla całego obszaru kolonii. Samokształcenie, nieingerencja w samorządność – wszystko niby warunkowo i z jakąś mityczną komisją, lecz gdy się przyjrzeć praktyce następnych lat, to osada stała się niemal eksterytorialną enklawą prawną. Niewątpliwie taki stan rzeczy jest możliwy tylko wobec braku jakichkolwiek problemów ze strony mieszkańców. Nie zanotowano przypadku potrzeby „pomocy” im jakichkolwiek struktur, czy instytucji stanowych, a tym bardziej federalnych. Wydaje się to niemożliwe, ale już po przyjrzeniu się ich organizacji społecznej staje się wyobrażalne. Poprzez wzorcowy podział ról, silny imperatyw nakazu współpracy i samopomocy i przy ogromnym, a niewymuszonym autorytecie przywódców - nie tyle rozkazujących, co pilnujących trzymania się „przykładów” – testimoniali, jakie istnieją na każdą okoliczność, a gdyby nie istniały, to... instynktownie wręcz, każdy się od takiej „nieprzewidzianej” wzorcami okoliczności będzie wszystkimi siłami bronił.

Cudów społecznych jednak też na świecie nie ma. Ta idylla jest więc możliwa, bo Kaznodzieje ... mają kasę! Od zawsze ją mieli. Skąd? Dokładnie nawet nie wiem, gdyż uznałem za zbyt ciche dochodzenie kolejnych źródeł dochodu tej społeczności, po uzyskaniu informacji tylko o pierwszym, całkowicie zresztą transparentnym.

Jedynie z dywidend od zysków australijskiej kompanii „od kamieni”, ale takich trochę większych, z jakich powstają biurowce i elewacje drapaczy chmur - wpływają małej społeczności kalifornijskiej corocznie dochody, jakie w rozdziale pieniędzy *per capita* czynią ją chyba zamożniejszą od Norwegów i Szwajcarów. A to jedno źródło tylko...

Tutaj u naszych Kaznodziejów nie ma na pewno słabego punktu. Szkoda mi więc szpalty i czasu Czytelników np. na anegdotyczne historie w rodzaju takiej, jak to kiedyś fiskus naliczył im zaległości podatkowe na ogromną wraz z odsetkami sumę, która narosła ze zwykłego niedbalstwa, olewactwa lub niewiedzy o czymś. Mieli zapłacić ją bez mrugnięcia i... sytuacja się powtórzyła.

Obecnie ma być już inaczej, czyli porządnie. Zarządzać ich biznesem australijskim mają ich jedyni „bracia” w sensie *stricto* współwyznawców tej samej doktryny. Oddzielili się równoległe z „naszymi” od pierwotnego ich „pnia” wyznaniowego.

Zarys historii exodusu z pierwszych miejsc osiadłości

Nie stało się to gwałtownie, wskutek np. jakiegoś konfliktu, lecz pod wpływem zaangażowanych dysput i w procesie co najmniej kilkuletnim. Miało miejsce nie w jednym, a w kilku ośrodkach, położonych po większości w stanie Massachusetts. Exodus też nie nastąpił gremialnie, lecz w kilku, podążających za sobą, w odstępach nawet kilkuletnich grupach pielgrzymów w poszukiwaniu Prawdy o istocie Światła Wewnętrznego, jeżeli dobrze to rozumiałem.

Dokonało się to na przełomie lat 80-tych i 90 -tych XIX wieku /słyszałem różne daty/. Ale słyszałem też mało uduchowioną hipotezę, jakoby wywędrowali ci, co „trzymali kasę”, a za nimi pociągnęli z czasem tacy tylko, którzy uznali, że tak będzie i im lepiej. W każdym razie zaistniała też na pewno istotna różnica zdań na temat słusznego dla poszukiwania Prawdy kierunku, skoro jedna, prawdopodobnie ok 150-200 osobowa grupa wypłynęła w rezultacie do Australii, a druga zamiast biletów nabyła solidne wozy, by wytyczyć dla następnych szlak, który zakończył się, jak już wiemy, na północnym brzegu Kolorado, gdzie ich fortopoczty napotkały zesłany przez Boga Znak. Zakłęte w kamieniach twardej tak, jak twardej może być tylko diament Odbicie Światła, jakie nie istnieje na Ziemi. Czyli musiało przybyć wraz z tymi kamieniami z Nieba.

I to się naprawdę trzyma kupy!

Jako że już kilkanaście lat później Henri Moissan znalazł ... ciut bliżej, na południowy wschód...

Popatrzcie teraz na tę samą mapę, ale w wersji Google – satelita.

Przecież to jedno wielkie „po-meteorowisko”! Krater przy kraterze!

Zaczyna się niedaleko od Meteor Crater i patrząc na mapie w kierunku rzeki Kolorado – kończy tam, gdzie ONI spotkali swoją Prawdę.

Rozumiejąc, że pustynna legenda to bzdura, czuję potrzebę powtórzenia, że jest to NAJLEPSZE z miejsc na świecie, gdzie mogłyby się ta bzdura zdarzyć.

Henry Moissan raczej nie wiedział o istnieniu Pielgrzymów, dlatego nie poznał się na pierwiastku boskim tego - fakt że cudownego refleksu. Dla niego były to kryształy węgla krzemu, w których bardzo często zachodzi naturalnie, także w przybyłych z Kosmosu zjawisko dwójłomności światła.

Co więcej, dwójłomność w jego kryształach odkryto jeszcze później.

Przodkowie ludzi, których nazywam Kaznodziejami, z całą pewnością nie mieli pojęcia o francuskim uczonej i innych badaczach znaleziska, tak profańsko podchodzących do Niebiańskiego dowodu na słusność Drogi przez nich wybranej.

Czy nie za wiele znaków zapytania?

I to tu mamy Przyjaciele prawdziwą zagwostkę – nie uważacie? Żadnych naturalnych moissanitów już nigdy więcej, w ilości godnej uwagi nie znaleziono. Tak, wiem. Samo dywagowanie o tym, że legenda, która urodziła się na tej, oto skalistej pustyni



może być prawdziwa... ustawi nas na pozycjach oszołomów, którzy już bardziej idiotycznej klechdy marketingowej nie mogli sobie wyszperać, aby wciskać ludziom swoje Kremy z klejnotami na dokładkę... Może jeszcze zaczną pociskać, że ich moissanity są... naturalne?

Nic tylko skomentować w tym miejscu: sekciarze z USA od kilku pokoleń, zwąchali się z jakąś młodą „niebieską sektą” z Polski i szukają frajerów o wyjątkowej naiwności.

Tak niestety należałoby na to racjonalnie popatrzeć.

Pozostaje tylko trochę PYTAŃ. Zakłócających jak najbardziej rozsądkowy tok myślenia.

Uwaga! Wiem, że wskazując na nie, odbiorę tym, którzy dobrnęli w lekturze aż tutaj - spokój...

To, że Kaznodzieje mają zakopane u siebie, gdzieś pod wielkimi sekwojami całe zwały surowych, gwiazdnych moissanitów, wywiezionych z Arizony przez kolejne ich grupy, jakie już nie wozami, a ciężarówkami przeprowadzały się do Kalifornii – to hiperbrednia, której uparte głoszenie może zabić wizerunkowo każdego. Ale...

1. Po jaką cholere ONI dokupowali od Huala Pai oraz Navaho ziemię? Jak zazwyczaj, naprawdę bardzo niewiele można się o nich dowiedzieć z mediów i archiwów w realu, tak to akurat jest wyjątkowo dobrze udokumentowane! Archiwa są, ponieważ, gdy już zrobiono z tych dwóch szczepów dziadów i łachmaniarzy, to odezwało się w Amerykanach sumienie dzięki czemu dziś Navajo i Huala mają się całkiem dobrze. Kaznodziejom do niczego jednak podówczas – racjonalnie patrząc nie mogły być przydatne w sumie tysiące hektarów tego nieuprawnego pustkowia. No chyba, że ... do poszukiwania i rozłupywania spadłych z nieba brył. Nie było wtedy jeszcze turystyki w dzisiejszym rozumieniu. Nawet pobliski Wielki Kanion nie „płacił”. No i oni nie kupowali nad kanionem. Takie... dziwne trochę działki sobie kupili. Bez dróg, bez wody, nierolnicze, niezbyt do wypasu bydła i ropy też tam akurat nie ma. Potem jeszcze takich więcej dokupowali i dokupowali... A do końca stulecia. NIKT wówczas nie robił takich inwestycji! Więc po co?

Film pokazuje dzisiejsze tereny Indian Huala na południowym brzegu Kolorado. To krajobraz bliźniaczy z brzegiem północnym na którym Kaznodzieje skupili sobie na przełomie XIX i XX wieku istne latyfundium ziemskie. Po co?

2. Jest też zagadką, do czego Kaznodziejom, którzy do dziś w zasadzie nie posiadają samochodów (w osadzie kalifornijskiej jest ich raptem kilka osobowych i też niewiele dostawczych) – w tamtych czasach mogły służyć pojazdy mechaniczne, pozwalające eksplorować ich skaliste włości. Takich bowiem wiele rejestrowali. Turyści jacyś to widocznie byli. Jeśli tak, to im musiało to później minąć. Bo obecnie nie zwiedzają jakoś okolic. A zamieszkują teraz piękniejsze niż trochę księżycowa Mojave.
3. Po Henryku Moissan nie znaleziono już nigdy więcej naturalnych moissanitów. Fakt. Ale może odwróćmy to zdanie: TYLKO TAM znaleziono naturalne moissanity. Nie wiem, czy w ogóle ktoś kiedyś schodził gruntownie Mojave i okolice – istne kraterowisko, pod kątem szukania tam węgla krzemowego. A może jego tam jest mnóstwo? Tylko że pewnie nie tak wygląda:



ani tak:



4. ONI z zasady nie konfabulują, nie kłamią. Nie tworzą mistyfikacji. . W ich religii nie ma św Michałów beatyfikowanych za zabicie smoka, ani cudownych, zbiorowych objawień. Więc naprawdę nie można założyć, że i ten raz i w tak Ważnej dla nich kwestii, TEŻ nie wysłali tego z palca?

Uznanie za możliwą hipotezy **znalezienia** naturalnych moissanitów – byłoby oceną zbudowaną na TYPOWYM zachowaniu sporej grupy osób.

Nie uznawanie go – to osąd, który przyjmuje za swoją podstawę zachowanie sporej grupy ludzi, jakie nie miało precedensu. Przedtem, ani potem. Z punktu widzenia socjologa i religioznawcy nonsensowne jest więc negowanie pustynnej legendy, a nie jej uznanie za fakt.

5. Nie ma śladu materialnego dowodu na to, że kiedykolwiek w ich rękach były naturalne kryształy węglika krzemu.

A jakie miałyby być? Lub kto po nie sięgnął? Może są na wyciągnięcie ręki! Oni dla siebie samych nie przeprowadzą tego dowodu. Bo to ich dogmat. Czy kiedykolwiek podjęto choć najmniejszą próbę sprawdzenia najprostszych rzeczy? Np. zbadania wieku posiadanych przez nich kamieni. Oszlifowanych bądź nie? Zakład stawiam, że nie. A jeśli nawet ktoś spróbował, to odpowiedź na: „daj do zbadania” była zawsze jedna: „- nie mam niczego takiego”.

Ich *testomonies* mówią, że taka odpowiedź bynajmniej nie jest kłamstwem (grzechem). Jakże dziecinnie łatwe mogłoby zaś być dowiedzenie, że właśnie prawdą jest to, co uznawane pozostaje za bzdurę jakby „automatycznie oczywiście”. Efektywna technologia syntezy węglika krzemu nie ma jeszcze 30-tu lat , logicznie więc - wszystko, cokolwiek znalazłoby się u NICH bądź

A wracając jeszcze na moment do mojej próby węszenia wokół wydarzeń sprzed pół wieku, uwiecznionych w filmie hollywoodzkim, to w pierwszej wersji historii owego konfliktu z władzami uchwyciłem (rzadkość) sugestię-plotkę na forum internetowym, iż mogły tam wchodzić w grę też jakieś podteksty obyczajowe. Liczyłem więc na odkrycie wreszcie czegoś odmiennego, kontrowersyjnego. Niechby chociaż podobnego tradycyjnemu, mormońskiemu, podkulturowemu przyzwoleniu na wielożeństwo. Lub czegokolwiek podobnego. Niestety... I tu się rozczarowałem, gdyż Kaznodzieje żadnych ciekawych dewiacji złośliwie również nie chcą skrywać. Ich model społeczno-obyczajowy nie odbiega specjalnie od zwyczajów kwakrów, czy mennonitów. „Dyskryminacja” kobiet, w sensie niedopuszczania ich do decyzji i funkcji w życiu społecznym to wątpliwa „atrakcja”. One po prostu tego nie chcą. Postawy pacyfistyczne, z odmową służby wojskowej, to już też dziś żaden pikanteria dla mediów. Przy tym od lat wielu oni i tu nie są zaczepiani, ani prowokowani.

Tak samo ich rzeczywiście nagminne ongiś problemy z fiskusem nie wydają się tematem na robiący oglądalność lub czytelność reportaż, tym bardziej że i one wynikają ewidentnie z wyjątkowej niechęci tych podatników do biurokracji amerykańskiej, nie zaś z niewłaściwej postawy obywatelskiej.

Jakkolwiek wiem, że nie jest możliwym, by istniała społeczność 100% wolna od problemów wewnętrznych i konfliktów, a więc i jakichś wydarzeń nimi spowodowanych, to ja nie mam naprawdę (a nie to, że nie chcę tym razem) nic w tej materii do przytoczenia. Troje ludzi, z jakimi miałem lub mam nadal relację, która pozwala mi na zadawanie pytań, jak dla nich to... wścibskich - też nie miało mi zupełnie nic niezwykłego do opowiedzenia.

„Ich absolutnie bezbarwny świat, rodzi absolutnie niepodobne do niego fantazyjne moissanity. Tam jest tak, jak nad Morzem Czerwonym. Nigdy byś nie podejrzewał, przesuwając wzrok po rdzawych skałach świata nadwodnego, jak niesamowicie piękna jest rafa koralowa – kilkanaście metrów niżej”.

Dygresja, ale jakże ciekawa

Tę, niezwykłą uwagę na temat Kaznodziejów, poczynił jedyny, znany mi Europejczyk, który interesuje się żywo tą grupą społeczną oprócz mnie (i pewnej niezbyt szczęśliwej dziewczyny z Los Angeles – ale o niej będzie w Głównym odcinku tej historii). Przedstawiam Dominica Moisan – jakkolwiek „zgubił” jedną literkę „s” w nazwisku – nie mam powodu nie wierzyć mu, że - stryjecznego prawnuka (tak to się chyba mówi) tego, który oficjalnie pierwszy na Ziemi przywitał cudowne kryształy węgla krzemu przybyłe do nas z Wszechświata. Zrodzone z gwiazdowego pyłu. Noblisty i człowieka niezwykłego, Henryka Moissan.

Dominik jest cudownym birbantem i hedonistą, ale z tych pracowitych jak mrówka i ciekawym świata we wszystkich jego odsłonach. Zna nawet produkty COLWAY! To muzyk. Może nie pierwsza liga estradowa. Ale na pewno najbardziej rozpoznawalny spośród grających jeszcze we Francji do tańca na balach i dancinach.

A propos niesamowitych historii... Kto z Was wie o tym, że piosenka Ałły Pugaczowej i nie gorsza wcale interpretacja Dominika – opisują w 100% prawdziwe zdarzenie? Uwierzylibyście, że ktoś mógł zamienić całe swoje życie na pąsowe róże dla dziewczyny, która nawet nie dała mu nadziei? Zadanie dla ambitnych: przebić się do internetu gruzińskiego. Hasło – klucz: ნიკო ფიროსმანი. A potem głębiej, głębiej... Panie łyzy uronia, jak sądzę.

„Skoro historia Niko Pirosmaszwiliego i jego *femme fatale* Marguerite de Sevres, którą śpiewam okazała się całkowicie prawdziwa, to w twoją, Beaty i jej Czecha z TYMI, którzy wyprzedzili mojego słynnego przodka w tle – uwierzę bez wahania. Bardzo tu wszystko pasuje. Tylko nie wiadomo która smutniejsza Jarosław, nie uważasz?”- odpisał mi Dominik.

O tym, o czym wspomina ... dopiero będzie. Na razie było o Kaznodziejach **bez nas**. No, ale moissanity się same w Koleczkowie, w Krakowie jeszcze najpierw nie pojawiły... Nie mogę Was zameczyć tak jednowątkową narracją. Powoli, są tematy bardziej potrzebne na już.

A Dominic Moisan – obiecał, że przyjedzie na jakąś imprezę COLWAY. Z instrumentarium. Tylko kiedy te imprezy wróca? Odwagi do przyjeżdżania na nie tyle, co wiary w wartość moissanitów było dotąd. Zmienimy to. Z odcinka na odcinek będzie coraz mocniej.

Wiecie, co mi jeszcze podpowiedział Dominic? Jak znaleźć szczelinę w hermetycznej, jak już mi się zdawało skorupie, którą osłonili się przed ciekawskimi Kaznodzieje! ... Jednego zbioru informacji o swojej społeczności nie są wstanie ani zamknąć, ani zasłonić przed innternautami. A mówi on wiele.

O przeszłości nawet bardzo wiele. Brawo muzyku! Jeśli kiedyś przyjdzie mi dowodzić tego, co jest w historii Kaznodziejów obiektywne i nie do zmienienia, to czy wyobrazicie sobie, jaką stroną w internecie będę się posługiwał?

<https://www.findagrave.com/>

Tak. Jest to miejsce, w którym można znaleźć nawet tych, którzy mocno chowali się przed nami lub izolowali bardzo skutecznie od świata. Nawet przez całe życie. To przewodnik po miejscach pochówku wszystkich. Na tej stronie ustalić można bardzo wiele. Również tajemniczy Kaznodzieje w tym zbiorze danych już nie odróżniają się tak bardzo od wszystkich innych. Zatarli po sobie wiele śladów. Muszą bez wątpienia mieć od tego świetnych fachowców, gdyż zapewniam Was, że nawet gdybyście znali te nazwy, okoliczności i nazwiska, które ja znam, to i tak internet nie powie Wam prawie nic. Trzech rzeczy tylko nie zabrali z Arizony, jakie nie pozwolą im już definitywnie zniknąć z kart archiwizowanych dziejów: swoich aktów nadania ziemi, hipotecznych dowodów jej nabywania, archiwum instytucji, jaką my byśmy dziś nazwali działem rejestracji w wydziale komunikacji i ... grobów tych, którzy zostali w krainie, gdzie odnaleźli Światło Wewnętrzne.

cdn

Sekretu moissanitów COLWAY Collector Collection odsłony kolejne... (9)

proszę nigdy nie czytać „od końca” czyli nie zapoznawszy się z odcinkami 1-8!

/materiał opublikowany 24 sierpnia 2020/

Moja prywatna hipoteza - rozwiązanie zagadki pustynnej legendy

Jest jeszcze pewien poważny szkopał, Drodzy Państwo. Który może nawet wybić zęby szczerzące się w szyderczym uśmiechu na każdą wzmiankę o jakimś skarbie klejnotów z kosmosu.

Otóż naturalne moissanity mogą się NICZYM nie różnić od syntezowanych!!! Czy to możliwe? Owszem. To nawet bardzo, bardzo prawdopodobne. Wiecie, ile czasu powstaje naturalny diament? Miliard lat. A syntezowany? No... sto kilkadziesiąt godzin dla bryłki kryształu węgla, z której pozyska się 1,00 ct.

Przy czym naprawdę niełatwo my, rzeczoznawcy odróżniamy diamenty sztuczne od np. kimberlitowych. Gdy technologia pozwoli dodawać tym pierwszym takie same jak w naturalnych inkluzje, będzie to już naprawdę trudne. Niewykluczone, iż nawet zupełnie niemożliwe. To również dlatego zastanowiłbym się już dziś nad inwestowaniem w diamenty lokacyjne.

A ile czasu trwa synteza moissanitu? Kto z Was wie? TYLE SAMO co w kosmosie! Bo **to nie jest proces krystalizacji jednego pierwiastka – węgla, lecz właśnie syntezy dwóch: węgla i krzemu. Nic więc nie da dłużej ich męczyć w odpowiednio wysokim ciśnieniu i żarze, a beztlenu. Gdyż... „bardziej” się już nie połączą.**



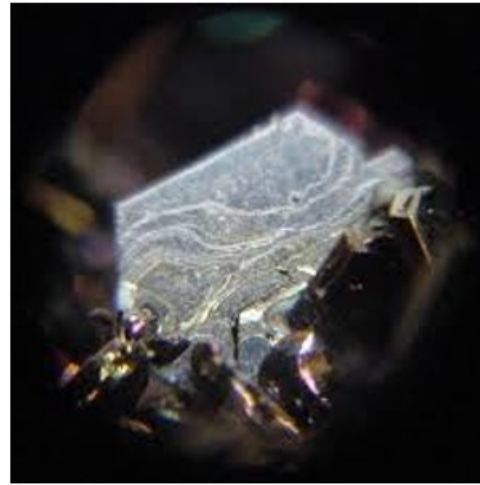
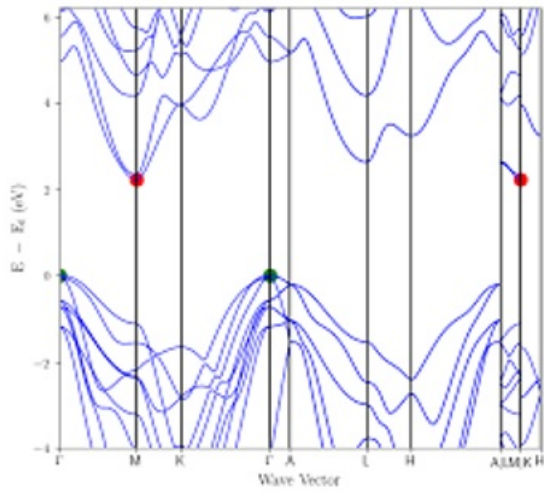
Moissanity są być może j e d y n y m i kamieniami jubilerskimi, których proces wytwórczy nie odbiega niczym od działania sił natury (o ile pojęcie „natura” już zaczęliśmy przenosić także poza orbitę ziemską...) I dodam od razu, że identyczność tych procesów nie wynika akurat z „perfekcyjnego naśladowania natury przez człowieka”, jak nie omieszkałby dodać tu szybko dobry marketingowiec. Wynika z samego procesu, a dokładnie z właściwości produktu reakcji, w wyniku której on powstaje! Skopiowanie w tym przypadku „warunków kosmicznych” nie jest więc wcale, aż takie fenomenalne. W sumie to reakcja raczej na tyle prosta, że ... Uwaga! Po raz pierwszy przeprowadzona została już w roku 1824 – fakt, iż czystym przypadkiem - przy okazji prób syntezy diamentu, ale jednak! Zrobił to ten oto szwedzki baron:



Jöns Jacob Berzelius

uważany zresztą, wraz z Robertem Boyle , Johnem Daltonem i Antoine Lavoisier , za jednego z twórców nowoczesnej chemii.

Twierdzę, że węgliki krzemu - zarówno te przybyłe z kosmosu, jak i każdy, jeśli tego zechcemy syntezowany, będą miały **taką samą** strukturę heksagonalną



i wszystkie takie same właściwości fizyko-chemiczne, to znaczy w praktyce co? Stosunek krzemu do węgla i nic więcej!

placement parameters ($\text{\AA}^2 \times 10^3$) for 6H-SiC moissanite

	x	y	z	U(eq)
Si1	0	0	0	5(1)
Si2	3333	6667	1664(1)	5(1)
Si3	6667	3333	3329(1)	5(1)
C1	3333	6667	412(2)	5(1)
C2	6667	3333	2080(2)	5(1)
C3	0	0	3746(2)	5(1)

Note: U(eq) is defined as one third of the trace of the orthogonalized U_i tensor.

Bo całe "więcej" to potrzebne ciśnienie, temperatura i całkowita nieobecność tlenu. Czym więc mogą się różnić te karborundy od siebie? „Ziemskie” od „gwiazdnych”?

Twierdzą nadto, że poznano już tyle wariantów tej samej w istocie metody syntezy węgla krzemu - droższych i tańszych technologicznie, acz zawsze prowadzących na finale do związku, kwalifikowanego często o dziwo jak pojedynczy pierwiastek - iż jeśliby ktoś realnie posiadał jego naturalne (kosmiczne) zasoby w ilościach pozwalających na lata eksperymentów, to dziś na pewno już metodami standardowymi nikt by jego „towaru” nie zdołał zróżnicować!

Kosmiczny, czy z mikrohuty ciśnieniowej - powinien pozwolić dać wyczarować z siebie takie same klejnoty

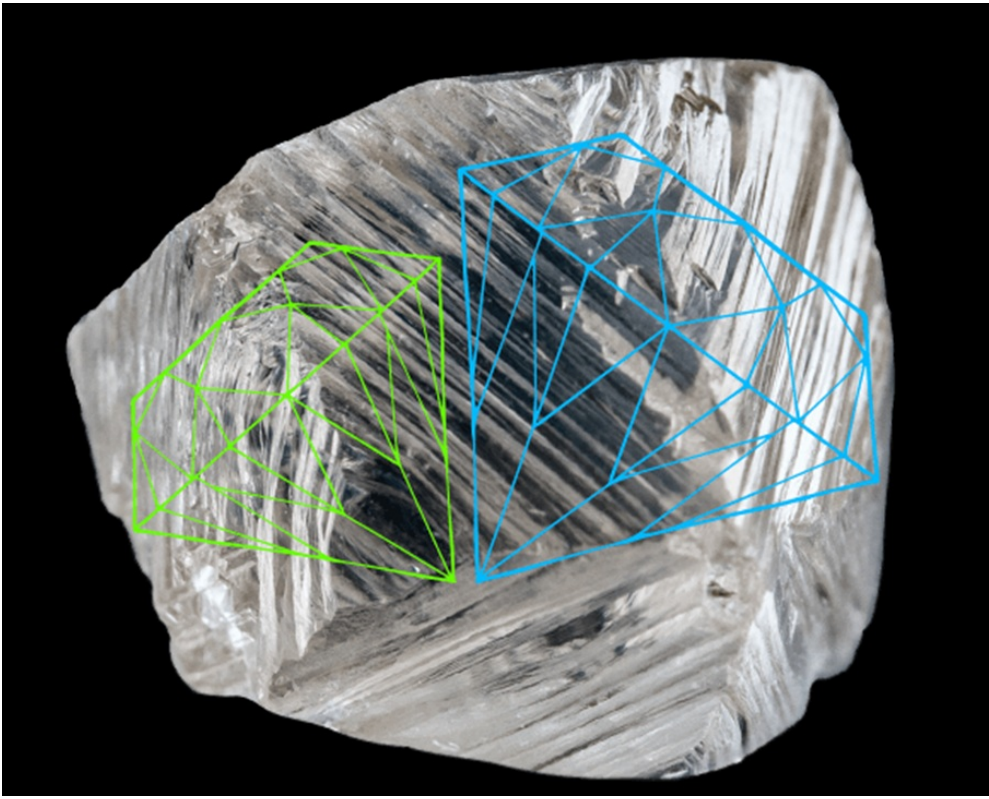


FIG. 3. Moissanit jubilerski



FIG. 4. Rurkowane inkluzje moissanitu

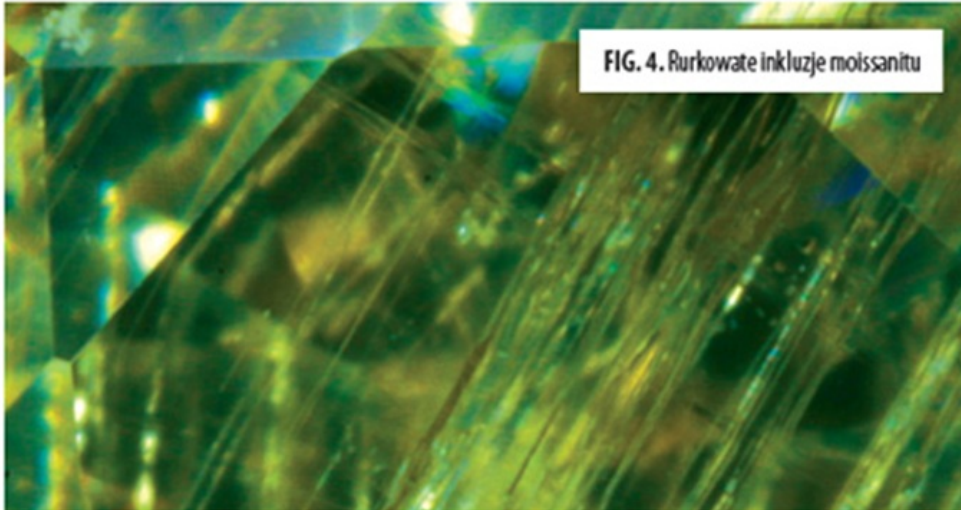
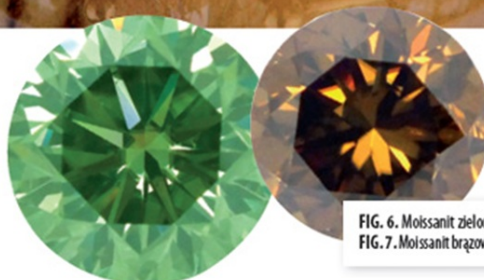


FIG. 5. Pierścionek z moissanitem



FIG. 6. Moissanit zielony
FIG. 7. Moissanit brązowy



Ale najważniejsze jest coś zupełnie innego! Czy czytaliście uważnie?

Tym razem technologia była przez naturą!

Surowiec do tych klejnotów człowiek pozyskał pierwiej niżli Natura mu go nawet pokazała! Najpierw Jacob Berzelius, potem Eugen G. Acheson, który nie myślał nawet wprawdzie o tym, by węgiel krzemu oszlifować, bo od razu go miał na, świetny zresztą materiał ścierny, ale go wytwarzał!

Na skalę przemysłową nawet! Dopiero potem Moissan wyruszył grzebać w kraterze, aby dać szansę Naturze, czy tam Kosmosowi objawić nam coś, co ... już sobie do licha zrobiliśmy sami!

Tak, wiem, że właśnie trochę nasikałem do jakże wspaniałej zupy marketingowej, o nazwie Klejnot rodem z Gwiazd... W tym materiale jest jednak tyle informacji, nad którymi Czytelnik nie może nie kręcić głową z niedowierzaniem, że wolę w tym miejscu prawdę niż slogan. Sloganu będziemy używali i tak, ale prawda jest taka, że tym razem człowiek wytworzył coś, o czym nawet nie wiedział, że istnieje w Wszechświecie. Klejnot zwany dziś moissanitem, to **jedyny w rodzinie kamieni szlachetnych**, do którego materiał szlifierski **objawił** się nam ... **najpierw ten z laboratorium, a potem dopiero ten z Natury** (o ile pojęcie „natura” już zaczęliśmy przenosić także poza orbitę ziemską...)

Postawię nawet nieśmiało tezę, iż te drobinki gwiazdne, jakie zostały po znalezisku dr Henryka Moissan, wyceniane są milionowo nieobiektywnie, z kapelusza, bo na pewno nie za właściwości, a za ... rzadkość. Zaiste. Rzadszych w zasobach ludzkich nie ma. Szkoda nam trochę pięknego sloganu? Więc może uwierzmy w pustynną przypowieść?



Czy rozumiecie???

Bo ja miałem, dość krótko takie, bardzo naiwne wrażenie, jakby nikt na świecie tego nie rozumiał... Może być jednak zupełnie inaczej. WSZYSCY, którzy powinni, to rozumieją. I wszyscy rozumiejący lub/i wtajemniczeni - po równo, nie chcieliby, aby wybuchło niewyobrażalne wprost zamieszanie. Trudno byłoby o większą sensację w wielu dziedzinach nauki i nie tylko, jakiej jednak baaaardzo nie chcieliby ani Kaznodzieje, dla których byłby to koniec ich Świata, ani - co chyba jest aż za bardzo oczywiste - wszelka konkurencja!

Może oświecić nas powinna następująca konkluzja: istnienie ogromnego zasobu surowca skalnego zawierającego kryształy węgla krzemu pochodzenia kosmicznego wcale nie musi być absurdalne. Jest wręcz ...prawdopodobne, jeśli się przyjrzeć tylko warunkom i przesłankom geograficznym, geologicznym i socjologicznym, a odrzucić tezę z góry do tematu uprzedzającą. Przez wiek cały, taki zasób wcale nie musiał pobudzać ludzkiej wyobraźni

(czytaj: chciwości). Więc cóż wówczas miałyby w nim być aż tak sensacyjnego, że niemożliwego?

Tu usłyszymy, że dziś „nie mogłoby się to ukryć” . A niby dlaczego nie mogło? Oczywiście, że mogłoby. Wystarczy przyjąć, że:

- a. Kaznodzieje naprawdę nie potrzebują pieniędzy, na co dowody dają od zawsze i w każdym swoim do nich podejściu. Są dla nich rzeczy znacznie cenniejsze i te będą chronić tak samo jak dotąd.
- b. Wszyscy pozostali ich potrzebują, ale ... nie dla psa kielbasa. Nie tylko więc branża moissanitowa, ale nawet lobby diamentowe dałoby wiele, aby na zawsze pozostała to tylko pustynna legenda.
- c. To, że Kaznodzieje nie doświadczyli nigdy „nalotu” wcale nie jest dowodem na bajeczność historii. Może być równie dobrze dowodem na lit „c”
- d. Biorąc „na badanie” to, co tylko zbadane być może – czyli materiał dla szlifierzy i klejnoty – nie da się stwierdzić pochodzenia kosmicznego. Po pierwsze, bo ... nie ma z czym porównać. Po drugie, bo raczej nie istnieją żadne różnice fizyczne ani gemmologiczne.

Dodam, że dawno już nie żyje nikt spośród tych, którzy (załóżmy to) „wyzbierać” mogli wszystko z tysięcy hektarów, na północ od Colorado River, co mogło wyglądać na kamienie skrywające Inner Light.

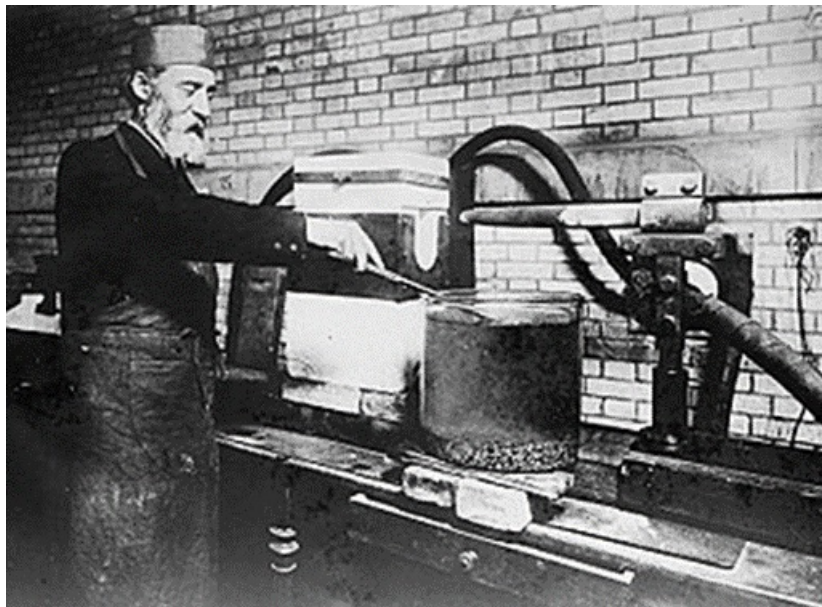
Jakie więc macie moissanity w Kremach Blue Diamond?

Czy możecie być pewni tego, że syntezowane?



Stonebridge©
silicon_carbide_small_rough3.JPG

Coś Wam jeszcze powiem... Znam ludzi, którzy wiedzą od zawsze, gdzie są ICH szlifiernie. Ale nikt, nigdy nie podtrzymał ze mną dialogu na temat komór termicznych, w których się robi spieki węgla krzemu. Tak wyglądała pierwsza „wytwórnia” tego surowca w Pensylwanii. A dokładnie sama końcówka „taśmy”:



Zdjęć żadnej z Arizony nie znalazłem... Ale i nie spodziewałem się znaleźć. Tropiłem ten ślad także , bo wyruszający w Pielgrzymkę za Prawdę teoretycznie... mogli wiedzieć o manufakturze Achersonów. Byłoby to jakieś wytłumaczenie Tajemnicy. Syntezowane skałki, ukryte w jakimś wozie. Dowieszone aż do Arizony. Manipulacja. Czy to mogło być tak? Nie sądzę „ale warto rozważyć każdą możliwość” - myślałem jeszcze wówczas... Dziś już wiem, że „na siłę” wręcz próbowałem racjonalizować. Nie tędy również droga do rozwiązania tajemnicy. Technologią Eugena Achersona nie sposób pozyskać węgla krzemu w formie monokrystalicznej. A tylko w takiej objawi się ta frapująca dwujłomność (dla bezbożników), czy też fizyczna ekspozycja Światła Wewnętrznego. Pokażę Wam monokryształy węgla krzemu już w następnym odcinku!

Kto po zapoznaniu się z tą historią jest absolutnie pewny tego, że pustynna legenda to kolejna bajka z mchu i paproci, czy tam kaktusów?

Otóż jeszcze wiele nie wiecie. Ale nie będę bardziej rozpałał wyobraźni, zanim nie rozprawię się z „wątpliwościami” co do wartości klejnotów jakie Gwarantujemy w Kremach wchodzących w skład Zestawów Programowych.

„[Moja prywatna hipoteza - rozwiązanie zagadki pustynnej legendy](#)” – to miał być jeden z ostatnich rozdziałów tego materiału w mojej pierwotnej wersji kolejności emisji. Tu więc zrobię pauzę, aby do rozważań tych wrócić, gdyż wiem, że spowodują wiele emocji. Stanowczo wolałbym aby nastąpiło to dopiero, gdy zakończymy dyskusje typu „ile mogą być warte te kamienie z Kremów, bo widziałam podobne w internecie za kilkadziesiąt złotych”.



Zobowiązuję odtąd wszystkich, którzy też „widzieli” aby uprzejmie przyjrzeni się dokładnie temu, co mianowicie widzieli. Kurs, jaki tutaj poprowadzę będzie miał na celu przede wszystkim nauczyć wszystkich chętnych rozróżniania i wyceniania moissanitów. Nie będzie wyłącznie teoretyczny! Chciałbym abyśmy przyjrzeni się w jego trakcie także takim kamieniom. Tanim, ale wystawianym gdzieś tam pod nazwą moissanity. Chciałbym przede wszystkim, byście Wy się im przyjrzeni. Przy jak największej widowni.

Teraz zrobimy pauzę w sadze o Kaznodziejach. To, co Was w historii z nimi związanej zainteresuje najbardziej, dopiero przed nami. Muszę Wam też pokazać trochę ich wyczynów na polu „moissanitowym”. Ale teraz wróćmy do spraw dla nas najważniejszych. Po pierwsze i główne, pokażę Wam bardzo konkretnie ILE kosztują moissanity! Moissanity, nie zaś coś o tej nazwie w internecie. Posurfujemy sobie trochę, by podejrzeć ile i gdzie, a ja Wam klarownie wyłożę, od czego to zależy. Poszperamy też trochę za moissanitami bardzo dobrymi a... okazjnie. Wreszcie zderzymy się z konkurencją cenową dla klejnotów markowych, która owszem – wyrasta. A co jest już dziś warta – też warte jest poznania. Na koniec będzie zimny prysznic. Jaki? Już się chyba domyślacie. Tak, dla tych co „widzieli po kilkadziesiąt zł”.

Jak tam? Selectory (testery) i lupy zakupione?



Bo ruszy też na całego kurs. Pamiętajcie, że deszcz biżuterii spadnie na pilnych uczniów? Ale jest też coś dla sceptyków. Zwołujcie ich tu koniecznie!

Jak nie zobaczą to nie uwierzą. 😊

***Uwaga! Odcinki czytać należy (1)→(2)→(3)→(4)→(5)... (21)→(22) a nie inaczej,
nie na wrywki bo nic z tej nauki nie wyjdzie)***